

W TEATRACH

Palcem w widza

Znów udała się grudziądzka premiera. Świetny tekst Janusza Głowackiego, znakomita reżyseria i doskonała obsada - tak najkrócej można podsumować spektakl „Antygona w Nowym Jorku”.

Ciemności przecina ostre światło latarki. Zamaszystym krokiem na scenę wkracza Murphy: policjant, któremu nieobce są sprawy bezdomnych (Edward Żentara). Tak, to prawdziwy problem w Nowym Jorku - opowiada. W mieście uznanym za serce demokracji, cywilizacji i poszanowania praw człowieka!

W nowojorskim parku bezdomnych jest wielu. Od czasu do czasu wpada tu policja, liczy wszystkich,

tłumaczy, żeby przenieśli się do schroniska. Wyciąga wtedy butelki z koszy na śmieci, żeby w razie akcji oczyszczania parku, bezdomni nie mieli się czym bronić.

Poznajemy Portorykanę Anitę (Małgorzata Maślanka), Saszę (Tomasz Piasecki) z Leningradu i Pchelkę (Marian Jaskulski) z małej polskiej wsi. Każde kiedyś gdzieś mieszkało, miało rodziny. Teraz to albo „schizole”, jak mówi Murphy, albo epileptycy. Jedno wy-

klucza drugie - cieszy się Pchelka, chory na padaczkę.

Każda z postaci została świetnie zagrana. I każda jest inna. Murphy: miły, ale zasadniczy. Policjant w akcji. Wpada na chwilę, ot tak, opowiedzieć widowni na czym polega jego praca. I choć zdarzają mu się dłuższe wywody, ani na moment nie pozwala nam odetchnąć. „Do pani mówię, tak, tak, do pani!” - krzyczy. Murphy chodzi po scenie i wzdłuż foteli publiczności. Równie

„niespokojne” są reflektory, które oświetlają Murphy’ego i nas na przemian.

Z kolei Sasza jest mało mówny i raczej opanowany. O, wyprowadzić z równowagi Saszę, to dopiero sztuka. Dokonuje tego Pchelka - leń, złodziej, spryciarz. A jaki przy tym miły! Nie da się ukryć: lubimy tego Pchelkę. Za to, że mówi śmiesznym, nieco cienkim głosem, drobny krok, czai się bez przerwy, bo przecież ciągle coś knuje. A gdy trzeba, rzuca się na kolana przed Saszą. Wtedy jest w stanie zrobić wszystko, by tylko nie stracić przyjaciela.

Trudną rolę schizofreniczki ma Małgorzata Maślanka - gra ją z powodzeniem! Anita czasem jest zagubiona, innym razem to sycząca wiedźma, rzucająca na Pchelkę uroki. A bywa też zalotna, szczęśliwa i wreszcie: odarta z tego wszystkiego. To ona jest amerykańską Antygona. Podobnie, jak ta antyczna, współczesna Antygona chce pochować kogoś bliskiego. Po ludzku i za wszelką cenę. Ale, jako bezdomna, ma naprawdę trudne zadanie. I tylko dziewiętnaście i pół dolara.

„Antygona w Nowym Jorku” to modny dramat. Gdy się pojawił, krzyczano, że nareszcie mamy współczesną tragedię. Taką, która chwyciłaby za gardło i mówiła do widza: widzisz, i ciebie może spotkać to samo! Sam Murphy wymachuje palcem w stronę widowni, tłumacząc, że pan albo pani będziecie bezdomnymi. Bo ze statystyk wynika, że przynajmniej jedna z osób zgromadzonych na sali niebawem straci dach nad głową. Tak, tak!

ANITA CHMARA

„Antygona w Nowym Jorku” Janusza Głowackiego, Teatr Polski w Grudziądzu, reż. Tomasz Piasecki, premiera 8 listopada 1998 r.



Od lewej: Marian Jaskulski, Małgorzata Maślanka, Tomasz Piasecki, nad nimi Edward Żentara.

Fot. PIORT BILSKI